

# Zdzisław Julian Winnicki

---

## "Wspomnienia", Stefania Romer, Wilno 2008 : [recenzja]

---

Wschodnioznawstwo 3, 317-322

---

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Stefania Romer, *Wspomnienia*, przedmowa: Jan Sienkiewicz,  
Wyd. Scripta mement, Wilno 2008, fotografie, ss. 364,  
(Zdzisław Julian Winnicki)**

Sztuka memuarystyki zanika. Pewnie dlatego, że Ci, którzy mają coś ważnego do przekazania, praktycznie już odeszli. Starsi współcześni pamiętników nie piszą. Pewnie dlatego, że nie mają o czym, gdyż powojenne pokolenie *en masse* miało żywot podobny, a poza tym w większości inteligencji pierwszopokoleniowi takich form literackich nie używają, gdyż albo nie mają co ukazać w swych rodzinnych korzeniach, albo się wstydzą ich plebejskiego obrazu. Wolą auto-wywiady *rzeki*.

Pamiętniki *od zawsze* były skarbnicą wiedzy nie tyle o Osobie, która je pozostawiła, lecz o epoce i zmieniających się stosunkach międzyludzkich, społecznych, ale także przemianach kulturowych oraz politycznych opisywanego czasu. Naukowo „odczytany” pamiętnik to jedno z ważkich źródeł poznawczych. Zwłaszcza gdy opisuje przełomowe momenty dziejów, w jakie mimowolnie wplątywana jest Osoba piszącego, a także gdy opis dotyczy z rzadka prezentowanego obszaru. Z takim cennym opisem mamy do czynienia w prezentowanej książce autorstwa jednej z ostatnich starego litewsko-polskiego rodu Roemerów-Romerów wywodzących się od inflanckich Kawalerów Mieczowych. Romerowie to jakże klasyczny przykład obcych rodów, które w kulturze polskiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów odnajdowały swą nową tożsamość i zostawały – na dobre i złe – Polakami. Czasem nowożytnymi Litwinami. Stefania Romer – ostatnia z rodu na dzisiejszej Litwie – była (i nadal jest) świadkiem czasu. Redaktor Jan Sienkiewicz<sup>1</sup>, niestrudzony tropiciel pereł kultury polskiej na współczesnej Litwie, „odnalazł” i redaktorsko upublicznił spostrzeżenia życia Pani Stefanii, Polki z Litwy Kowieńskiej, Litewskiej SRR, odłączonej Wileńszczyzny i wreszcie dzisiejszej Republiki Litewskiej.

Stefania Romer jest przykładem tych Polaków, którzy trwając w polskiej kulturze i polskiej świadomości narodowej, nigdy w odrodzonej po 1918 r. Polsce nie mieszkali. Swą polskość wywodzili jeszcze z I Rzeczypospolitej i, jak wskazują liczne przykłady dzisiejszych Kowieńczuków, nigdy już jej nie utracili. Jest ich wszakże coraz mniej. Znacznie mniej niż polskich nagrobków – kamiennych śladów polskości gęsto jeszcze rozsianych po całej północnej Litwie.

Książka, której treść ujęta jest zasadniczo chronologicznie, składa się z Przedmowy (Jan Sienkiewicz) s. 5-7, Części I. „Bohdaniszki. Dom babci Maryni Romerowej, 1926-1937” (s. 7-75), Części II. „Dom mamy Marychny z Narbuttów

---

<sup>1</sup> Pierwszy prezes Związku Polaków na Litwie i pierwszy przewodniczący Akcji Wyborczej Polaków na Litwie.

Romerowej, 1932-1954” (s. 75-155), Część III. „Nauki gorzki korzeń, 1933-1952” (s. 155-261), Część IV. „Bez pracy nie ma kołaczy, 1952-1981” (s. 261-364).

Część I poprzedzona *sagą* rodu przynosi niezwykle interesujące informacje o życiu codziennym Polaków na litewskiej prowincji. Opisy domostw, sadów, gospodarstwa, zajęć zarobkowych i domowych, zwyczajów i relacji z litewskojęzycznym otoczeniem to niezwykle dokument miejsca i czasu. Stefania Romer, bliska krewna rektora Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie, wybitnego prawnika Michała Romera (odtąd: Romerasa), obdarzona wyjątkową wrażliwością na ludzi i przyrodę po prostu *odmalowała* ówczesny świat polskich *wysp* Litwy Kowieńskiej. Uderza w tym opisie prostota, a czasem wręcz skromność życia drobnego ziemiaństwa polskiego tamtych stron. Pracowitego, gospodarującego na resztkach majątków, jakie im pozostały po carskich rugach i litewskich reformach rolnych. Zupełna odwrotność lewicowej propagandy o rzekomych zbytkach szlachty. Obraz dzieciństwa Autorki w Bohdaniszkach w rakiskim (Rokiškis) powiecie, w krainie pagórków, rzeczek, lasów i łąk w zestawieniu ze szczegółowym opisem życia codziennego (domu, sadu, komory, stajni, kurnika, pralni, sadzawki i parku) tamtejszych Romerów, Narbutów, Tukałów, Butkiewiczów, Mieczkowskich, Chwaścińskich, Koziełłów, Lisieckich, Komorowskich to barwna, ale i dokumentalna w istocie paleta miejsca, ludzi i czasu. Bardzo ważna poznawczo i piękna w przekazie, z jakże polskim akcentem, wyeksponowaniem matki – Matrony rodu babci Marii Romerowej (siostry Michała Romera), niepodzielnej *władczyni* całej licznej rodziny. Także w zakresie ówczesnych pojęć i stosunków narodowościowo-politycznych, o których Pani Stefania wspomina, że w dzieciństwie dowiedziała się, iż jest Polką, a mieszka obok ludzi, którzy mówią po litewsku. Polska zaś jest gdzieś daleko, mimo że wszyscy jej znajomi i krewni między sobą mówią wyłącznie po polsku.

Część II to opis życia w Szaszewiczach pod Boptami w rodzinnym domu – gospodarstwie matki Pani Stefanii – Marii z Narbutów Romerowej. Szaszewicze i Bopty nieopodal (na północ) od Kowna to w owym czasie okolice praktycznie polskie (do dzisiaj Polacy mówią tam o niedawnej przeszłości: „Od Datnowa do Janowa [Jonava] wszędzie słyhać polska mowa!”). Współcześnie o niedawnej polskości zaświadczą jedynie cmentarne kamienie. I znów w kontynuowanym opisie znajdujemy szczegółowy obraz życia codziennego, gospodarstw, obyczajów, świąt – z szeregiem odwołań do polskich pieśni śpiewanych w gronie przyjaciół (np. znana w całej Polsce: *budujemy mosty dla pana starosty ...*)<sup>2</sup> przy pracy i kapliczce, a nawet rodzajów i sposobów przyrządzania potraw w pracowitym, ubogim niezwykle skromnym życiu mieszkańców Kowieńszczyzny. To cenne informacje. Przydatne badaczom wielu dziedzin nauki. Tym razem centralną posta-

<sup>2</sup> W 2007 r. autor niniejszego omówienia pozyskał w Datnowie (na pn. od Bopt i Kiejdan) gruby zeszyt z zapisanymi ręcznie piosenkami i pieśniami. Jakież było zdziwienie (wydawało się, że będą to pieśni regionalne), gdy okazało się, że są to utwory ogólnopolskie, łącznie z pieśnią o „Krakowiance co nie chciała króla za męża...”

cią jest ojciec, chromy artysta-malarz i rzeźbiarz, a tłem, jakby żywcem *miłoszowa*, niezwykła przyrodniczo Dolina Niewiaży. W ówczesnej parafii boptańskiej Autorka przywołuje już całkiem świadomie lituanizacyjne działania szkoły i kościoła nakierowane na tutejszych (przeważająca większość) Polaków: Walukiewiczów, Sosnowskich, Linowskich, Szałkiewiczów, Różyckich, Pacewiczów, Rondańskich, Sokołowskich, Saulewiczów, Świszczewskich, Klaweckich. Dzisiaj ich potomkowie nazywają się już: Walikiawiczius, Sasnauskas, Linauskas, Szalkiewiczzius, Ražickas, Pacawiczzius, Randamanskas, Sakalauskas, Swiszczauskas, Klaweckis.

Część III odnosi się do doświadczeń szkolnych Autorki. Obejmuje też najbardziej dramatyczny okres, jakim był koniec litewskiej niepodległości, pierwsza okupacja sowiecka, niemiecka i ponowne zajęcie Litwy przez Sowiety.

Stefania wskutek niezdania (jak zaznacza z powodów tendencyjnego potraktowania) egzaminu z języka litewskiego zaczęła naukę w polskim gimnazjum w Kownie. Okres nauki przypadł na nawiązanie stosunków Polski z Litwą, stąd niezwykle interesujące są zarówno opisy życia oraz działalności naukowo-wychowawczej samego gimnazjum, jak i ówczesnego życia społecznego stolicy litewskiego państwa. Gimnazjum, zamknięte po wejściu Sowieców, Stefania zmieniła na też polskie, ale w Wilnie (równie ciekawy opis stosunków w mieście, jak pisze Autorka, wówczas całkowicie jeszcze polskim: 10 gimnazjów polskich i po jednym rosyjskie oraz litewskie). Po wkroczeniu Niemców i całkowitej likwidacji koncesjonowanej polskości sowieckiej Romerówna wraca do nauki w Kownie, lecz już w gimnazjum litewskim. Okoliczności tzw. *pierwszych Sowieców* są we wspomnieniach jedynie zamarkowane. Początki okupacji niemieckiej z kolei zaznaczone jako czas względnego spokoju na Kowieńszczyźnie, gdyż, co podkreśla Pamiętnikarka, „Litwini z Niemcami nie walczyli”, traktując ich jako wrogów swoich wrogów, a zatem przymusowych sojuszników. Wobec Polaków Wileńszczyzny Litwini, uzyskując w służbie niemieckiej autonomię, stosowali skrajny ucisk i dyskryminację. Tragedią był natomiast los tutejszych Żydów. Ten fragment losów Kowieńszczyzny Autorka eksponuje. Podkreśla też skrajną obojętność Litwinów wobec losu tutejszych Żydów, mordowanych niemal w samym mieście „...szosa była ruchliwa, sunęło po niej mnóstwo wozów, z Kowna i do Kowna, jechały samochody – jak zawsze, jak w zwykłych normalnych czasach, a obok [forty, których resztki przetrwały do dnia obecnego – położone są nie dalej niż 150 m od opisywanej szosy – Z.J.W.] mordowano tysiące ludzi” (s. 201). Dodajmy, że wykonawstwo okupanci pozostawili Litwinom. Polacy z Bobt i okolic przechowali natomiast pewną liczbę dzieci swych żydowskich sąsiadów. Delatorstwa nie było. Niemniej obraz Kowieńszczyzny i Wileńszczyzny był różny. Ta druga była pod podwójną okupacją niemiecką i litewską ze wszystkimi tego tragicznymi konsekwencjami. Po likwidacji Żydów kolaboracyjne struktury litewskie przystąpiły do wywłaszczania kowieńskich Polaków. Narbuttowie z Szaszewicz i większość ich polskich sąsiadów stracili wszystko na rzecz niepolskich osadników. Ale Stefania

nadal była kowieńską gimnazjalistką. Z tego czasu znów przekazała cenny obraz życia codziennego (wojennego) Kowna, w tym jej rodziny. Taki dokumentalny obrazek miasta, którego, jak pisze, „większość mieszkańców biedowała” i ratowała się wyprzedając, a właściwie wymianą (za bezcen) swego dorobku za żywność z gospodarstw, które na Litwie Kowieńskiej, mimo warunków administracji wojennej, niezłe prosperowały. Przekazała także opis kowieńskiego gimnazjum, z którego po roku usunięto wszystkich uczniów Polaków. Interesujący jest również opis ponownego zajęcia Litwy przez Sowietów. Trudne i bolesne sprawy wywłaszczeń, tworzenia kołchozów oraz opór litewskiego podziemia, które przekształcało się niekiedy w ruch bandycki. Znajdujemy w tej części opracowania informacje o udanych i nieudanych próbach ewakuacji kowieńskich Polaków do powojennej Polski (większości odmówiono prawa wyjazdu). Wreszcie znajdujemy tutaj opis studiów, jakie Autorka podjęła na kowieńskiej Akademii Rolniczej i skierowania do pracy na Wileńszczyźnie. Stefania Romer chciała pracować w środowisku polskim i to jej się udało. Dzięki temu znów otrzymaliśmy niezwykle cenny, niemal dokumentalny opis sytuacji polskich rejonów podwileńskich, gdzie pracowała jako agronom, a następnie nauczycielka jedynej polskojęzycznej szkoły rolniczej w Białej Wace (dzisiaj kompleks szkół rolniczych z uczelnią o poziomie licencjackim). Autorka wskazuje na trwający proces kołchozeryzacji, stosunki służbowe i narodowościowe. Ukazuje wreszcie – co bardzo cenne badawczo – życie codzienne ludności Wileńszczyzny litewskiej<sup>3</sup> w sowieckich warunkach Litewskiej SRR. Także niełatwe, bo dla miejscowej ludności zupełnie nowe, życie gospodarcze i społeczne tutejszych kołchozów (były jeszcze przypadki tzw. fałszywych kołchozów, gdzie ludność – do czasu – markowała pracę kolektywną, pracując na swoim, a państwu sowieckiemu dostarczając produktów i *lewą* sprawozdawczość). Kołchozy kierowane przez partyjnych analfabetów w pierwszej fazie istnienia stały się ruiną dotychczasowej gospodarki chłopskiej. Stefania Romerowa opisuje przy tym stopnie degradacji „...ludzie na wsi byli jeszcze bardzo dobrzy”: pierwszym objawem było postępujące złodziejstwo (przykład szedł od „góry”) częstokroć z wielkiej biedy oraz przekonania, że „odbiera się swoje”. Etapem drugim stało się pijaństwo i powszechne tutaj „samogoniarstwo” – trzecim, podwójne standardy prawdy, czyli wszechobecne kłamstwo i zakłamanie „...człowiek jedno myślał, drugie mówił, trzecie robił ... pod kierownictwem komunistów robiono tyle zła: wywożono niewinnych ludzi całymi rodzinami na Syberię, zabijano, zsyłano do łagrów, odbierano ziemię i domy – a mówiono, że wszystko to jest dobro ... zmuszano ludzi żeby chwalili to wszystko...”.

Pani Stefania agronom na kilku takich placówkach, chcąc nie chcąc, przyuczała, pomagała, kierowała, organizowała, by mimo wszystko osiągnąć produkcję warunkującą przecież życie tutejszych chłopów. W pewnym okresie dozorowała

<sup>3</sup> Warto przypomnieć, że kojarzona z Wileńszczyzną wyłącznie ta, która znajduje się na dzisiejszej Litwie, to zaledwie ¼ historycznej Wileńszczyzny jaka skutkiem traktatu Ribbentrop-Mołotow *znalazła się* w Białoruskiej SRR (obecnie Republika Białoruś).

aż 30 kołchozów. Opis owego gospodarowania, bardzo szczegółowy, to również dokument czasu. Przydatny w badaniach przemian społeczno-ekonomicznych na ówczesnej sowiecko-litewskiej Wileńszczyźnie. Okres ów zapoczątkował także nieznaną dotąd na Wileńszczyźnie rusyfikację. Zaczęło się od nasyłania *specjalistów* RFSRR.

W 1955 r. Stefania zaczęła nowy etap – pracę w Wileńskim Agrozoo technikum w Bujwidziskach z polskim językiem wykładowym. Opis tego okresu to kolejny ważny dokument czasu, jaki zostawiła Pani Romerowa – charakterystyki nauczycieli i uczniów, przebieg szkolenia, program nauczania, wygląd gospodarstwa, stosunki wewnątrz szkoły – to kolejny cenny zapis dziejów Wileńszczyzny. Szkoła mieściła się w dawnym (niedawnym?) majątku Platerów. Powstała „z najwyższego rozkazu”, by szczególnie niepodatni na kolektywizację Polacy uzyskali swoich specjalistów rolniczych (ponoć zarządził tak sam Stalin). Na licznych fotografiach (kolejna dokumentalna zaleta pamiętnika) napisy urzędowe na obiektach były w języku polskim! Nauczycielami byli w większości miejscowi Polacy. Od 1959 r. polskiego dyrektora z powodu bezpartyjności zastąpił komunista Rosjanin. Odtąd zaczęła się językowa rusyfikacja szkoły, a dokumentacja była prowadzona po rosyjsku. Nasiliła się także sowiecka ideologizacja. To spostrzeżenie Stefanii Romer jest charakterystyczne dla wszystkich ówczesnych instytucji na Wileńszczyźnie, która po raz pierwszy w swych dziejach dotknięta została tak silnym i dzisiaj zjawiskiem zewnętrznej (językowej) rusyfikacji. Z własnych licznych spostrzeżeń możemy stwierdzić, że mówiący na Wileńszczyźnie po rosyjsku człowiek w wieku średnim – to z pewnością Polak.

W 1962 r. szkoła przeniosła się do adaptowanego obiektu w Białej Wace (Baltoi Vaka) mieszczącym się w starym majątku Łęskich. Rusyfikacja, jak już wspomniano, zaczęła się od masowego napływu rosyjskojęzycznych urzędników, milicjantów i innych *specjalistów*. Rosyjski stawał się na Litwie językiem nie tyle uprzywilejowanym, co urzędowym. Dla dzieci przyjezdnych, w tym wielu przesiedlonych z BSRR, utworzono w polskojęzycznych szkołach klasy rosyjskojęzyczne. Zastraszoną polską ludność „przekonywano” do zapisywania dzieci także do tych klas. Wobec braku nadziei na zamianę, a tym bardziej „powrót Polski” zadziałał także mechanizm oportunistów i chęci kariery, co oznaczało wyrwanie się z kołchozowej nędzy za cenę wykształcenia dziecka w języku rosyjskim. Wyznacznikiem narodowości pozostawała wiara, gdyż zbiedniała ludność, niemal w 100% chłopska, traciła poczucie narodowości na rzecz nieznanego np. w Polsce „tutejszości”. Na szybkie językowe zrusyfikowanie miała także wpływ sytuacja gwarowości podwileńskiej wsi, występująca do dzisiaj także na Białorusi pod postacią tzw. *mowy prostej*, będącej mieszanką polskiego i gwar białoruskich.

Tak rozpowszechnił się na Wileńszczyźnie trwały do dnia dzisiejszego język rosyjski. W latach 70. zmienił się kraj, ludzie, ale i ... kołchozy. Stefania Romer zauważyła nowe formy gospodarki, powszechną mechanizację, no i wyższy poziom kadr, w czym walny udział mieli absolwenci Technikum Agrozoo technicznego

z Białej Waki. Stosunki społeczno-polityczne *złagodniały* do tego stopnia, że Wilnianie mogli nawet wyjeżdżać w odwiedziny do rodzin w PRL, a wygnańcy z Ojcowizny do nich. Ten okres i warunki życia opisane przez Stefanię Romerową to kolejny dokumentalny obraz życia polskich rejonów na sowieckiej Litwie. Reżim złagodniał, poziom życia wzrósł, ludzie przywykli. Zapracowana przez całe swoje życie Stefania Romer w wieku 55 lat, zgodnie z tamtejszym prawem pracy, przeszła na emeryturę. Wspomnienia, za namową redaktora Jana Sienkiewicza, napisała już jako niewiekowa przeciw emerytka. Zakończyła je tak jak przyjmowała i obserwowała życie z wszystkimi jego niedogodnieniami, jakich doznała: pogodnie „Witaj pogodna starości!”.

Książka Stefanii Romer, jak już wskazywano, ma wiele walorów. Napisana pięknym polskim językiem, jaki zachowała Autorka *od kolebki*, jest pastelowym, epickim obrazem życia lat dzieciennych, dziewczęcych, panińskich i dojrzałej kobiety. Jest niemal fotograficznym przekazem warunków życia środowisk polskich Kowieńszczyzny i Wileńszczyzny. Obrazem (szczegółowym!) ówczesnego obyczaju, relacji międzyludzkich i międzynarodalnych. Ukazuje piękno Krainy Niewiaży, Niemna, Wilii opowiedziane przez wrażliwą obserwatorkę kochającą przyrodę i ufającą ludziom. Jest przypomnieniem czasu i ludzi. Uczy szacunku dla dnia codziennego, bo ukazuje, jak godnie przeżyć czas, który tak szybko odchodzi, niezależnie od okoliczności, na które nie ma się wpływu. Jest wreszcie ważkim, uzupełniającym źródłem, z którego zapewne w swoich badaniach skorzystają zarówno etnologowie, etnografowie, jak i historycy i politolodzy opisujący współczesne stosunki na dzisiejszej litewskiej Wileńszczyźnie. Cennym uzupełnieniem opisów są liczne fotografie z każdego okresu życia Pani Stefanii, same w sobie stanowiące dokument czasu.

Dobrze się stało, że książka się ukazała.